

zegnać się z panem, ponieważ miałem niespodziewaną wizytę.

— Ach tak! koło quai de Aerey? Było to dosyć ciekawe. Niema obawy, bym zapomniał. Chciałbym bardzo wiedzieć, kto to był. Czy pokazywałem panu złote pudełko do zapalek, jakie znalazłem w jego marynarce, którą dał mi w zamian za swoje sakpalto? Ma bardzo dziwny monogram...

— Pozostawmy na razie monogram, później powrócimy do niego — rzekł Jan najobojętniejszym tonem. Mnie nie tyle interesuje, kto to był ten człowiek, lecz co on robił w podobnym miejscu. Mówi pan, że mimo swego ubrania, musiał on należeć do dobrej rodziny. Niech mi pan to opowie szczegółowo; pan ma talent do opowiadania, sprawi mi to przyjemność.

Lataupe nie gardził widocznie pochlebstwem. Nie dając się długo prosić, przystąpił zaraz do swego opowiadania, w którym początkowo nie znajdowałem nic ciekawego.

— Pan już wie, że miałem sprawę w pobliżu quai de Bercy u matki Lepic, która utrzymuje kawiarnię z pokojami umeblowanymi na ulicy wątpliwej sławy i imienia. Ponieważ pan nie zna tej osławionej dzielnicy, muszę panu opisać zakład matki Lepic, by historia moja stała się jaśniejszą. Proszę wyobrazić sobie zapadłą rudę o dwóch tylko piętrach; na parterze drzwi i okno hermetycznie zamknięte okienicami; od tyłu nieuprawiany ogródek, wychodzący na puste place. Latem drzwi od ulicy są ciągle otwarte, przynajmniej od góry, gdyż składają się one z dwóch części, jak to można widzieć na niektórych obrazach flamandzkich: niższa część stanowi coś w rodzaju baryery. Zimą we wnętrzu tej komórki świeci się światło, które widać przez cztery otwory, wyrżnięte w wyższej części drzwi. Te cztery świecące się otwory i lekki dym, dobywający się z komina, świadczą, iż dom ten jest zamieszkały. Gdy wchodzi się do środka, chwyta zaraz za gardło zgniła atmosfera. Jest to mieszanina najrozmaitszych wyziewów: nafty z zaponionych dwóch lamp, starego tłuszcza, absyntu i najtańszego tytoniu, palonego w tej poczerniałej od brudu jamie. Tłusta, o nalanej sadłem twarzy, matka Lepic, tronuje za swym kontuarem, nie wypuszczając z pod pachy kłębka bawełny i drutów do robienia pończoch. Zatruty odór tej izby widocznie nie przeszkadza jej, gdyż nie znosi, aby na chwilę nawet drzwi pozostały otwarte. Co zaś do okna, to jak już powiedziałem, nikt nie widział, żeby choć okienice były kiedykolwiek odchylone. Meble świecą swoją nieobecnością, dwa stoły z drzewa dawniej białego i kilka krzesełek z wyatrtemi siedzeniami, stanowią wszystkie prawie sprzęty. Matka Lepic nie lubi zbytecznych rzeczy. W głębi znajdują się drzwi, dające dostęp do tylnego pokoju. Niekiedy drzwi te bywają otwarte, najczęściej jednak są one szczelnie zamknięte. Za temi właśnie drzwiami muszą odbywać się ohydne targi, o których tylko świadkowie ich mogliby coś powiedzieć.

Jakiej natury łajdactwa tam się dzieją, tego nie wiem. Już trzy razy byłem w zakładzie matki Lepic, ani razu mimo to nie udało mi się dostać do wewnętrznego pokoju. Dosyć jednak popatrzeć na minę, z jaką stara megera strzeże tych drzwi, by zdać sobie sprawę z ważności lub niebezpieczeństwa, jakie przedstawia dokonywający się tam handel. Zapewne muszą tam także i grywać, gdyż od czasu do czasu dolatują stamtąd przekleństwa, spory lub odgłosy walki. Nie sądzę jednak, by tylko z tego powodu było prawie niemożliwością przeniknąć do tego domu z nastaniem nocy. Musi tam być jeszcze coś innego, lecz pomińmy to... Zgodzi się pan na to, że nie jest to miejsce, godne polecenia. Nie przyznałbym się nigdy, że tam się znajdowałem, jeżeli bym nie czynił tego ze swego obowiązku.

Pewnej nocy, o której panu właśnie wspominałem, udało mi się wejść tam o dość późnej porze. Zanim mnie wpuszczono, trzeba było dać hasło. Wyznam panu, że wiele trudów zniosłem, zanim je sobie zdobyłem i potem, zanim je chciała usłyszeć matka Lepic, która nie jest tak głucha, jak to utrzymuje. Po przezwyciężeniu tych trudności, natrafiłem

na nową przeszkodę. Na miejscu matki Lepic siedział jakiś mężczyzna w zniszczonym ubraniu marynarza i pilnował tych tajemniczych drzwi. Były one tym razem na tyle uchylone, iż mogłem rzucić jedno spojrzenie do środka. Mimo nieufności, jaką mnie przejmował ten cerber, zbliżyłem się do niego i popatrzyłem przez jego ramię. Dojrzeć mogłem tylko część tego pokoju; przy małym stoliku ujrzałem jakiegoś człowieka o czerwonej, nabręklej twarzy, o okrutnym i zwierzęcym wyrazie, który jednak wydał mi się odrazu udany. Uwaga marynarza zdawała się być zwrócona na tego mężczyznę. W chwili gdy podszedłem, by popatrzeć, z piersi jego dobyło się westchnienie. Jednocześnie matka Lepic, która zjawiała się nagle, nie wydając nawet najmniejszego szelestu, dotknęła się go i rzekła mu coś, czego jednak nie dosłyszałem. Człowiek ten zadrżał cały, rozejrzał się dokoła i wskazał wreszcie palcem na drzwi w drugim końcu pokoju.

W odpowiedzi na to nieme zapytanie, matka Lepic kiwnęła potakująco głową. Wtedy on skierował się do drzwi i chociaż usiłował naśladować chara-



Usadowiłem się wygodnie w fotelu i nadstawiłem uszu.

akterystyczne ruchy robotników drzewnych, poznałem łatwo, że nie jest tym, za kogo chce się podawać.

Zaledwie drzwi zamknęły się za nim, gdy od wewnątrz doleciał nas jakby długi płacz dziecka. Odrazu wszystko ucichło. Z niezwykłą zręcznością, zadziwiająco u kobiety tej tuszy, co matka Lepic, skoczyła ona jednym ruchem do tamtego pokoju.

— Sygnał — szepnęła — to policja, znowu te wyżły. Może pan uciekać przez okno.

Ktoś zbliżył się do okna lisim krokiem i podczas gdy gaszono światło, patrzył na ulicę, podnosząc kawałek grubej firanki, która okno to pokrywała w zupełności.

Usłyszałem szept: „Dom otoczony“, na co odrzekła matka Lepic:

— A więc to na seryo? Musicie skryć się w piwnicy. Będzie wam tam trochę ciasno, ale agenci nic nie znajdą.

Gdy skierowałem się do drzwi, by wyjść niemi, ktoś szepnął:

— Nie tędy! Nie lubimy tu szpicli!

Jednocześnie matka Lepic mówiła mi do ucha: — Niech pan zostanie razem z nami. Jeżeli by przyszło im na myśl, że chce ich pan zdradzić, zarazby się z panem załatwili. Naprzód, chłopcy, ostro, a bez hałasu!

Najzupełniejsza ciemność zaległa pokój. Usłyszałem trzeszczenie podłogi, potem głuchy stuk, jakby zamykanie się spustu. Z pół tuzina pijanych oberwańców, którzy niewiadomo skąd się wzięli poprzednio, zapewne z dalszych ubikacji, znikło jak czarowanych. Kilka próżnych butelek na stole i dwie talie kart świadczyły o niedawnej obecności gości matki Lepic, która pośpiesznie schowała to wszystko do szafy, a potem zasiadła w swym fotelu. Nigdy nie widziałem nikogo zarazem tak podnieconego i tak spokojnego.

— Jest tam miejsce jeszcze na jednego — rzekła, pokazując mi palcem zakątek, przez który inni znikli. — Chce pan zejść?

Zaledwie zdołałem odpowiedzieć przecząco, gdy otworzyły się drzwi w głębi. Matka Lepic wydała stłumiony krzyk. Mniemany robotnik schodził z wyższego piętra.

— Boże! Ja o tym zapomniałam! — jęknęła gruba megera. — Gdzież ja go schowam?

Spóźniony ten gość nie zwrócił na to uwagi, patrząc prosto przed siebie. Przy nikłym świetle w tej izbie widać było na twarzy jego wyraz niezwykłego bólu. Jasnym było, że nawet nie przypuszcza, ani myśli o grożącym niebezpieczeństwie.

— Czy już tak późno, że wszystko pogaszono? — zapytał z westchnieniem.

Ton jego głosu zadziwił mnie. Nie było wątpliwości, że człowiek ten należał do wyższych sfer.

— Co za gamajda! — jęczała matka Lepic, załamując sobie ręce. — Za chwilę policja wejdzie. Już od kilku dni kręcą się oni koło domu, winnabym była przestrzedz pana o tem.

— Na nic by to nie wpłynęło. Ja i tak poszedłbym na górę — odpowiedział robotnik. — Niech pani mi pomoże, o ile to możebne jest i przypomni sobie to, co obiecała. Jutro przyślę pieniądze... Mój Boże i w takiej chwili trzeba odchodzić.

— Ależ pan nie może teraz iść — zaprzeczyła. — Nie chce pan chyba wpaść im w ręce i tłumaczyć się, kim pan jest, po co pan tu przyszedł.

— Raczej umrzeć! Prędko, niech pani mnie chowa. Dobrze zapłacę. A ten tam — dodał, wskazując na mnie — nie może mi pomóc? Nie wygląda on na bojącego się policji. Niech zamieni ze mną ubranie.

Podszedłem ku niemu i rzekłem szeptem:

— Należę do policji bezpieczeństwa. Nazywam się Lataupe. Znajdzie pan w kieszeni mojej marynarki papiery, stwierdzające moją identyczność. Nie będą pana niepokoiili, gdy im pan je pokaże. Ale naprzód pomówmy o nagrodzie, o jakiej pan wspomina.

— Musi mi pan, mój przyjacielu, zakredytować — odpowiedział. — Na górę zostawiłem wszystkie pieniądze, jakie miałem z sobą. Przyrzekam jednak panu, że jeżeli zostawią mnie w spokoju, otrzyma pan w przeciągu

dwudziestu czterech godzin pięćset franków.

— Głupi niech wierzy w to — rzekłem ironicznie.

— On zapłaci — zaczęła potwierdzać matka Lepic.

— No, dobrze — zgodziłem się, upewniony przez nią. — Niech pan bierze moją marynarkę i kapelusz.

Ubrał się w nią zaraz, a chociaż nie była bardzo elegancka, dodała mu szyku.

Nagle na progu tej kawiarni ukazał się jeden agent, za nim drugi, potem trzeci.

— Hola! Światła! — zawołał rozkazującym głosem.

Podczas gdy matka Lepic podkręcała knot jednej lampki, jaka się świeciła, jegomość mój zbliżył się do brygadiera, który dowodził tym oddziałem. Po krótkiej rozmowie z nim, wyszedł wkrótce, nie zatrzymywany przez nikogo. Nie tak było ze mną. Gdy zrewidowali cały zakład, znajdując tylko pięć czy sześć kobiet na górze, agenci poddali mnie szczegółowemu badaniu. Poradziłem jednak sobie z nimi i wkrótce wykazałem im, że należę do nich.

(Ciąg dalszy nastąpi).